ŻYCIE

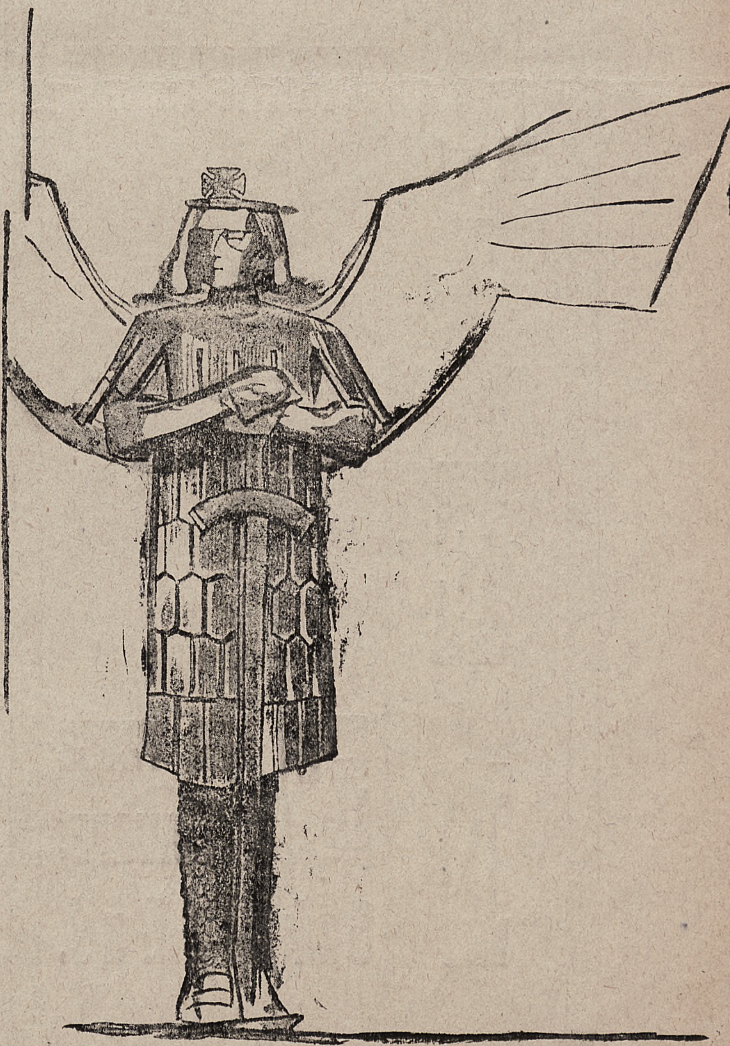
ROCZNIK I. ZESZYT XII.

DNIA 17. GRUDNIA 1910 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: JULJUSZ ŁOPATKA.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

KONSTANTY SROKOWSKI.

DEMOKRACJA GALICYJSKA WOBEC NOWYCH ZADAŃ.



K. OSTEN

Jednym z największych nieszczęść, które ściąga na nas utrata niezależnego bytu politycznego, jest udaremnienie samodzielnej ewolucji społecznej i wciągnięcie nas do systemów społecznych raz bardziej od naszego rozwiniętych, drugi raz znowu znacznie od nas niższych i młodszych, a zawsze obcych. Mechanicznie rozszarpani i nie mniej mechanicznie z podstawami konstrukcji państwa i społeczeństw zaborczych sprzęgnięci, idziemy po drodze dziejowego rozwoju zawsze nierównym i nienaturalnym krokiem, kulejąc niejako na obie nogi już to dlatego, że sprzągnięci z jednymi musimy forsownie podbiegać, już też z tego powodu, że skuci kajdanami z drugimi, zniewoleni jesteśmy zatrzymywać się, przystawać i co chwila wypadać z tego tempa rozwojowego, które społeczeństwu naszemu nadały jego tysiącletnie dzieje.

Jest faktem powszechnie znanym, że jakikolwiek postęp społeczny dokonał się w naszym narodzie w ciągu ostatniego stulecia, był on urzeczywistniony nie przez nas, ale bez nas, często zaś i przeciw nam. Nie usiłuję oceniać, ile w tym było naszej własnej winy, a ile złej woli zaborców. Stwierdzam tylko sam fakt niewątpliwy, że zarówno tak kapitalny akt społeczno-polityczny jak uwłaszczenie włościan, jak cały szereg najdonioślejszych reform prawno-państwowych, bezpośrednio naszego narodu dotyczących, był we wszystkich trzech zaborach dokonany przez najeźdźców i przedewszystkim w ich interesie.

Ostatnią w porządku chronologicznym wielką tego rodzaju reformą, która wywrzeć musi wpływ głęboko sięgający na najżywotniejsze interesy tak wielkiej i ważnej części naszego narodu, jak społeczeństwo polskie w Galicji, była reforma parlamentarnej ordynacji wyborczej w Austrji.

Jak wiele innych poprzednich tego rodzaju i ważności reform, także i ta reforma nie była wynikiem naturalnego rozwoju naszego społeczeństwa, nie wyłoniła się organicznie z jego procesu życiowego, ale narzucona przez czynniki obce, kierujące się zupełnie innymi względami i opierajace się na zupełnie odmiennym stanie faktycznym innych społeczeństw, zastała nas nieprzygotowanymi do jej przyjęcia i należytego zużytkowania, przyszła do nas pod pewnym względem — z a w c z e ś n i e.

W tym miejscu winien jestem kilka zastrzeżeń. Otóż przedewszystkim nie rozumiem tej „zawczesności“ omawianej reformy jako t. zw. „niedojrzałości szerokich mas“. Wyszarzały argument „niedojrzałości“, który zawsze i wszędzie zdobił arsenały djalektyczne konserwatystów i reakcjonistów całego świata, jest z natury rzeczy pozbawiony wszelkiego sensu. Nigdy bowiem żadne reformy nie były wynikiem dojrzałości mas, ale właśnie środkiem do spowodowania czy też przyspieszenia tej dojrzałości, która w miarę swego postępu czyniła je albo bezprzedmiotowymi, albo wymagającymi dalszych uzupełnień. Gdyby istniały gdziekolwiek „dojrzałe masy“, to tam sprawa reform prawno-państwowych stałaby się bezprzedmiotową, ponieważ potencjalnie każda w ewolucji dziejowej wytworzona forma bytowania państwowego jest dobra i celowi swemu odpowiadająca, gdyby wypełniające ją masy były dojrzałe... Naród mający w większości swojej ludzi typu Sokratesa, Platona lub Kanta, mógłby niewątpliwie żyć i rozwijać się zupełnie dobrze, bez względu na to, czy forma jego państwa byłaby republikańską, czy monarchicznie — absolutną. Ponieważ jednak takiego narodu niema i najprawdopodobniej nigdy nie będzie, przeto zmienia się naturalny — w znaczeniu umowy społecznej Rousseau'a — stosunek masy do jej rządu. Rolę twórczą i kształtującą obejmuje rząd, materjałem biernym i w zakresie swoich obyczajów, instynktów i nałogów plastycznym stają się masy.

Z tego zaś stanowiska nie można powiedzieć, że każdy rząd jest dobrym, ponieważ kryterjum tej dobroci stanowi tu już zdolność każdego poszczególnego rządu do inicjowania, współdziałania, przyśpieszania procesu dojrzewania mas, a w każdym razie przynajmniej nieutrudniania go i nieudaremniania. Stosując to kryterjum, powiemy, że rząd jest tym lepszym, forma jego tym bardziej celową, im bardziej przyczynia się on do dojrzewania mas, im łatwiej się to dojrzewanie w danej formie dokonywa.

Wszelka tedy reforma, dokonana przez jakikolwiek rząd, wynika z jego orędowniczego i kierowniczego stosunku do rządzonej masy, jako taka zaś wyklucza z konieczności fakt dojrzałości tej masy ze względu na daną reformę.

Rzucony przeto wyżej wyraz „zawczesność“ reformy wyborczej nie oznacza bynajmniej t. zw. „niedojrzałości mas“. Cóż on tedy oznacza? Oto każda reforma prawno-państwowa nie jest niczym więcej, jak tylko przeniesieniem ośrodka siły państwowej z jednego kompleksu społecznego na drugi. Nigdy i nigdzie żadna reforma dokonana czy to w drodze pokojowego ustawodawstwa, czy w drodze gwałtu i rewolucji, nie była w rzeczywistości dokonana dla dobra jakiegoś abstrakcyjnego ogółu, ale wyłącznie i jedynie na pożytek tej grupy, która w danym momencie procesu historycznego mogła i umiała nadać swoim własnym interesom i potrzebom cechy interesów i potrzeb możliwie najszerszego ogółu. Grupa ta, dokonawszy zamierzonej reformy, obejmuje rządy, t. j. staje się ośrodkiem siły państwowej czynnej i świadomej, której używa naturalnie w swoim interesie przedewszystkim.

Jeżeli tedy mówię, że reforma wyborcza w Galicji przyszła zawcześnie, to nie mówię przez to, iż masy galicyjskie nie są do niej dojrzałe, ale, że w społeczeństwie naszym w Galicji reforma ta przyszła prędzej, niż zdołała się wytworzyć i skonsolidować odpowiednio s i l n a g r u p a s p o ł e c z n a, któraby przesunięcia ośrodka siły państwowej, przez reformę tą wywołane, chciała, mogła i umiała zużytkować zgodnie ze swoimi interesami, pośrednio zaś w interesie owych wiecznie dojrzewających mas.

Słowem „zawczesność“ tej reformy polega na tym, że będąc ultra demokratyczną, nie z a s t a ł a o n a u n a s ż y w e j i d o d a l s z e g o p ł o d n e g o ż y c i a z d o l n e j i n a l e ż y c i e p r z y g o t o w a n e j d e m o k r a c j i.

Byłoby rzeczą bardzo wdzięczną i pouczającą zastanowienie się nad tym, dlaczego mianowicie demokracja ta u nas nie zdążyła się jeszcze wytworzyć. Ale kwestja ta zbyt jest obszerną i zbyt skomplikowaną, aby z jednej strony można ją było zbywać kilkoma ogólnikami, z drugiej zaś gruntowniej rozpatrywać. Pozostawmy ją tedy otwartą, a rozumujmy tak, jak gdyby była zamkniętą. Faktem jest, że te wszystkie nasze grupy społeczne, które przykrywają się zwykle mianem demokracji galicyjskiej, zdobnej w większą lub mniejszą ilość iście homeryckich epitetów ornancjów, nie stanowią w sumie swojej skupienia społecznego dostatecznie zwartego, aby było zdolnym do zużytkowania zreformowanej ordynacji wyborczej. Na dowód przytoczę kilka faktów. Oto przede-

wszystkim największy, najsilniejszy i najbardziej do typu nowoczesnego stronnictwa politycznego zbliżony odłam tej demokracji galicyjskiej — mianowicie demokracja narodowa, był zasadniczo przeciwnym dokonanej reformie. Grupa ta walczyła przeciw niej aż do momentu, w którym zdrowy rozum nakazywał opuścić nie dającą się utrzymać pozycję, aby nie wydać się zwyciężonym. Opór ten owej grupy demokratycznej bezsprzecznie najsilniejszej i stosunkowo najlepiej do objęcia bodaj kilku ról w czynnej polityce przygotowanej, świadczy najdowodniej, że reforma wyborcza znajdowała się poza granicami jej dążeń, że nie wchodziła w skład jej bazy politycznej, z czego logiczny wniosek, że grupa ta nie była przygotowaną do zużytkowania tej reformy w swoich celach.

Jeszcze gorzej miała się rzecz z innymi odłamami demokracji galicyjskiej, które tylko dzięki całkowitej prostracji swojej ówczesnej nie mogły się jej tak lub inaczej przeciwstawić. Tylko grupa t. zw. „krakowskiej“ demokracji oświadczyła się jasno i bez zastrzeżeń za tą reformą, w czym znalazł wyraz jej naturalny antagonizm do rządzącej partji konserwatywnej.

Ostatecznie reforma doszła do skutku. Prawo mimetyzmu, odgrywające w polityce nie mniej ważną rolę, niż w naturze, dokonało swego. Przeciwnicy stającej się reformy przeistoczyli się w zapalonych wielbicieli dokonanej. A rezultat niemniej pozostał wielce żałosny. Koło Polskie w Wiedniu, stawszy się pseudo-demokratycznym, straciło dawne pozory siły, które mu nadawała klasowa jednolitość jego silnej większości szlachecko-agrarnej, a nie nabrało bynamniej młodzieńczego rozmachu i energji, której powinno się domagać od partji młodej w rządzeniu. Co więcej, wbrew wszelkiej logice form, ale niemniej w zgodzie z logiką treści realnych stosunków rzeczywista władza w kraju pozostała w dawnych „wypróbowanych“, konserwatywnych rękach. Jeszcze więcej! Oto demokracja poza raczej efektownym niż trudnym „zdobyciem“ prezesury Koła i ministerstwa dla Galicji, nie próbowała nawet na prawdę rozszerzyć swoich zdobyczy na teren najważniejszy, na teren władzy krajowej. Nieśmiałe próby, zaimprowizowane w tym względzie przez narodowych demokratów w formie niefortunnego ataku na dra Bobrzyńskiego, odsłoniły tylko całą niespoistość t. zw. „demokratycznych“ żywiołów w kraju i wynikającą stąd całkowitą niemal ich niezdolność do rozszerzenia zakresu zdobyczy demokracji poza prezesurę Koła polskiego i ministerstwo bez teki.

Fakty te wystarczą chyba dla stwierdzenia, że demokracja galicyjska nie posiada obecnie dość wiele i dość różnorodnie działającej siły, aby mogła zużytkować w prawidłowy sposób reformę wyborczą, że przedewszystkim demokracja ta do niej nie dojrzała i że z tego właśnie punktu widzenia reforma ta dla Galicji była — za wczesną.... Zresztą, gdyby nawet nie istniały żadne inne fakty, oprócz dotychczasowej historji reformy wyborczej do Sejmu, to już i ta historja sama jedna świadczyłaby dowodnie, że żywioły demokratyczne w Galicji w dzisiejszej swojej postaci, w dzisiejszym położeniu ekonomicznym i w dzisiejszym składzie socjalnym, nie posiadają minimum tych danych, których potrzeba do wzięcia i dzierżenia władzy.

Pomijając wady organiczne naszej demokracji, które tylko powoli wraz ze stopniowym rozwojem całego społeczeństwa mogą zniknąć, lub przynajmniej zmniejszyć się odpowiednio, należy wytknąć te jej braki, które wprawdzie także mają swoje dostateczne historyczne uzasadnienie i przypadkowych cech szczególnej dotkliwej kary boskiej nie noszą, nie mniej jednak mogą być przy pewnym wysiłku świadomym ze strony kierujących sfer demokratycznych znacznie zmniejszone, jeżeli nie usunięte.

Chodzi w tym względzie przedewszystkim o to, co wszyscy t. zw. „praktycy“ polityczni galicyjscy lekceważą, a nawet wręcz perhoreskują najchętniej i najsystematyczniej, chodzi o pewien logicznie zbudowany, pozytywnie uzasadniony i szczerze a czynnie wyznawany system przekonań narodowych, społecznych i politycznych, które stawszy się podstawą pozytywnego programu politycznego, stałyby się naprawdę własnością umysłową i moralną ogółu demokratycznego i ostoją jego świadomej i śmiałej opinji publicznej.

Galicyjski praktyczny polityk demokratyczny, wychowany na wzorach polityki konserwatywnej, zbyt pochopnie skłania się do mniemania, że drobnostką jest opinja publiczna, ktora jest zdaniem jego na to tylko, aby ją fałszowano i stale w błąd wprowadzano, i że kamień węgielny wszelkiej polityki stanowi konwentykiel zaufanych, wtajemiczonych do dwunastego stopnia, którego celem jest przygotowanie szwindlu wyborczego, rozdzielenie ról, no i synekurek, jeżeli w danej chwili są jakie do rozporządzenia.

Pogląd taki na mechanikę współczesnego życia publicznego, o ile najzupełniej naturalny, ale również nie właściwy u konserwatystów, jest wręcz rażącym nonsensem dla demokratów, którzy przecie właśnie opierają się na masie, operują liczbą stronników, a nie ilością fideikomisów i obszarów dworskich, tudzież siłą spoczywającego w nich kapitału, sankcję dla swych czynów biorą od

opinji ogółu, a nie od sił wyższych, nadziemskich, którymi równie dobrze mogą być Pan Bóg, jak t. zw. „tradycja historyczna“ lub jeszcze modernistyczniej brzmiąca „konieczność dziejowa“...

Zbliżenie się do mas, „zniżenie się“ do demosu — oto ten zasadniczy imperatyw, którego demokracja galicyjska musi jak najrychlej usłuchać, jeżeli pragnie wogóle wydobyć się z dzisiejszego swego zaczarowanego koła, które w dodatku mocno bagienkiem — takim bardzo naszym bagienkiem — zanosi.

W społeczeństwach szczęśliwszych i kulturalniejszych od naszego, taki imperatyw wypowiedziany pod adresem demokracji brzmiałby naturalnie, jak niedorzeczny paradoks. U nas niestety tak nie jest. U nas niestety nie można ustawać w nawoływaniu wszelakich demokratów i demokracyj, aby zbliżały się do — demosu, jeżeli chcą być demokratycznymi partjami, a nie demokratycznymi t. j. nieutytułowanymi klikami.

A do tych mas potrzeba zbliżać się z czymś całkiem pozytywnym w ręce i w głowie. Frazesu w braku czegoś lepszego będą one także słuchać, na chwilę pójdą za nim i uświetnią swą obecnością tę lub ową uroczystość narodową czy jaką inną, ale niemniej instynkt powie im, że to wszystko tylko surogat zdrowej i tęgiej, a przedewszystkim szczerej myśli publicznej i prawdziwej troski o ich doczesne dobro. Nafaszerowane tymi frazesami wrócą one do domów i odzyskawszy równowagę duchową, zrozumieją rychło, że dano im co najwyżej — „mikołajka“, niby grzecznym dzieciom.

Pochopność na frazesy, jaką okazują nasze masy, wynika nietylko z ich niskiej kultury umysłowej i z zaniedbania intelektualnego, w którym całymi gien racjami żyją. Jest ona także skutkiem głodu duchowego, który zmusza te masy do chwytania łakomie wszystkiego, co się nadarzy. Człowiek jest istotą społeczną. Myśl zaś, wypowiedziana w słowach, jest najpotężniejszym czynnikiem tej społeczności. Masy społeczne potrzebują tej myśli zawsze i tak samo intenzywnie, jak każda z tworzących je jednostek potrzebuje żywności. Jest tedy wielkim złudzeniem, mniemać, że masom wystarczają frazesy, skoro okazują takie łakomstwo na nie. Byłaby w tym taka sama logika, jak gdybyśmy powiedzieli, widząc człowieka, ogryzającego z głodu korę, dajmy na to brzozową, że kora brzozowa jest najodpowiedniejszym i dostatecznym dla niego pożywieniem...

Demokracja, która się z tym elementarnym faktem nie liczy, niegodna jest swojego miana, ani lepszego losu. Cóż to jest tedy owa myśl pozytywna, której demokracja powinna przedewszystkim demosowi dostarczyć?

Wielkie przewroty rewolucyjne ubiegłego stulecia, w których lud po raz pierwszy występował na arenie politycznej wsród huku możliwie najgórnolotniejszych haseł, sprawiły, że utarł się, szczególniej u nas, którzy tak mało samodzielnie o rzeczach publicznych myślimy, szablon, wedle którego mniema się powszechnie, że do ludu można iść tylko z najniedorzeczniejszymi obietnicami, z najbardziej radykalnymi hasłami, bo tylko silne słowa i bardzo pstrokate obietnice zdolne są przemówić do jego rozumu, wyobraźni i uczucia. Jest to błąd, o którego oczywistości wielu nie chce się dlatego tylko przekonywać, że obawiają się, iż byliby rzeczywiście — przekonani, co nałożyłoby na nich cały szereg ambarasujących obowiązków...

Lud składa się z ludzi wprawdzie ciemnych, przeważnie i niekulturalnych, ale nie mniej nie wierzących ani w bociany noszące dzieci, ani w Mikołajów zstępujących z nieba... Przeciwnie świadomość ich życiową urabia taka surowa wychowawczyni i nauczycielka, jak nędza i wieczna troska o najelementarniejsze potrzeby, dzięki czemu, świadomość ta zacieśnia się wprawdzie bardzo i z reguły prawie do najbliższych tylko celów życiowych, ale w granicach tych jest bardzo jasną i żadnymi uprzedzeniami niezamąconą.

Z drugiej strony wiadomo, że stopień kultury mas stoi w odwrotnym stosunku do ich pochopności do słuchania haseł radykalnych. Rewolucjoniści rosyjscy, chcąc zainteresować tamtejsze masy chłopskie dla konstytucji, musieli hipnotyzować je tak niedorzecznymi hasłami, jak nacjonalizacja ziemi. Anglji hasła takie nie są już możliwe nawet do pomyślenia, chociaż na ogół kwestja agrarna w Anglii jest co najmniej tak samo ostra, jak w Rosji.

Tak więc nie idzie tu o radykalizm tych myśli i haseł, które demokracja ma podawać ludowi, ale o coś zupełnie innego, mianowicie o ich szczerość, logiczność, jasność i praktyczną osiągalność. Lud jako masa nie znosi dwóch rzeczy — szacherki i utopji. Pierwszej nienawidzi, ponieważ instynktownie czuje, że ostatecznie zwraca się ona przeciw niemu, drugą lekceważy, jako zabawkę, na którą nie ma czasu.

Tymczasem wszystkie dotychczasowe programy polityczne demokratycznych partji galicyjskich miały i mają to ze sobą wspólnego, że są układane na to, aby ich nie dotrzymywać. Na zachodzie dzieje się z reguły tak, że programy i hasła zostają, a padają ludzie. U nas ma się ta

rzecz wręcz na odwrót: ludzie stoją jak mur i odznaczają się niebywałą i żadnymi ich osobistymi zaletami nieuzasadnioną długowiecznością polityczną, hasła zaś i programy w sprawach najbardziej nawet ważnych i zasadniczych zmieniają się jak chmury na niebie, od konwentyklu do konwentyklu, od jednej przemijającej kombinacji osobistej do drugiej. Znam jeden demokratyczny program polityczny, w którym między innymi przepięknymi rzeczami istnieje także dyplomatycznie wypowiedziany postulat jednolitego prawa małżeńskiego dla wszystkich obywateli. Oznacza to poprostu wprowadzenie ślubów cywilnych. I oto kandydat na posła, ubiegający się o tę godność na podstawie tego właśnie programu, uznał za stosowne z powodu pewnej lokalnej a zupełnie przypadkowej kombinacji wyborczej, powiedziedzieć, że żąda, aby sprawy małżeńskie przekazane zostały pod wyłączną jurysdykcję kościoła. Był to więc śmiały krok wstecz, aż gdzieś po wiek szesnasty. Szanowni wyborcy przyjęli to do wiadomości i kandydata zaufaniem swoim „zaszczycili“ rzeczywiście. Zwycięstwo tedy było odniesione, ale co się stało z biednym programem?

Byłoby niedorzecznością domagać się od żywiołów, stanowiących dzisiaj najczelniejszą warstwę demokracji galicyjskiej, aby powyłaziły z własnej skóry i przeistoczyły się w jakichś tam George Lloydów, czy chociażby Briandów i Clemeceau'ów. Na to jesteśmy za młodzi i bardzo i bardzo nam jeszcze do takich typów daleko. Nie mniej jednak można, a nawet z tym większem naciskiem należy od tych żywiołów żądać, aby raczyły raz wypłynąć na czystą wodę i powiedzieć narodowi najdroższemu — chcemy tego, tego nie chcemy, a to nam jest obojętne i to z następujących powodów... Nie potrzebuje to wszystko być ani bardzo radykalne, ani bardzo szlachetne ani nawet nadmiernie mądre. Jednakowoż musi być szczere i bezwzględnie konsekwentne.

Demokraci pragną podnieść życie ekonomiczne kraju. Nic słuszniejszego. W tym celu domagają się kanałów spławnych. Bardzo dobrze. Ale niechajże się ich naprawdę domagają, niechaj nie dopuszczają do skandalu, że polak minister, zapewne ufny w swoją dokładną znajomość Koła Polskiego, z nieporównanym cynizmem odmawia mu tego, czego nie odważyłby się odmówić mu żaden minister niemiecki, przynajmniej nie w takiej uragającej wszelkiej kwalifikacji formie.

Jak w geometrji, tak w życiu jednostkowym i społecznym, a więc i w polityce, linia prosta jest między dwoma punktami drogą najkrótszą, a w polityce jeszcze i najpewniejszą. Linia prosta powinna być godłem demokracji jako symbol jej szczerości i uczciwości politycznej. Nie klnijcie się panowie pod Tatrami, że odbudujecie Polskę (fakt autentyczny), nie przyrzekajcie demosowi raju na ziemi, bo to niedorzeczne, nieszczere i niepraktyczne zarazem. Bo primo, zawsze się znajdzie ktoś, kto słowa swoje jeszcze mniej od was będzie cenił, i ten was z reguły przelicytuje; secundo, przestaną wam wierzyć i to tym rychlej, im więcej miały wasze obietnice pozorów realizmu i ziszczalności. Kiedy bowiem agitator ruski obieca chłopom rozdział dóbr n. p. kameralnych to mu to nic nie zaszkodzi w opinii jego wyborców. Bo zawsze on będzie miał przed nimi wytłumaczenie, że chciał i starał się o ten rozdział, ale panowie nie dopuścili. Lecz jeżeli panowie obiecujecie kanały spławne i posiadacie taką na nie rękojmię, jak prawomocna ustawa państwowa, to czym się będziecie przed wyborcami tłumaczyć z nieuzyskania tych kanałów? Czyżby tym, że pan doktor Biliński wam nie pozwolił?

Od demokracji nikt rozsądny nie żąda, aby na tym agrarno-klerykalno-feudalnym ugorze, którym niestety ciągle jeszcze jest nasza piękna Galicja, wybudowali odrazu piękne pałace, sięgające aż pod niebo. W kraju z 50 procentami analfabetów, w kraju, który trudni się najmniej zyskownym handlem mięśniową siłą swoich własnych obywateli, który dzisiaj odgrywa analogiczną rolę, jaką niegdyś odgrywała Gwinea i Afryka Centralna, dostarczająca niewolników na targi amerykańskie, w takim kraju wszelka, nawet niezbyt stosunkowo śmiała obietnica, musi zakrawać na humbug. Demokracja będzie miała dość zasługi, skoro połata ten dach, który wedle dumnego orzeczenia ś. p. hr. Wojciecha Dzieduszyckiego jest ogniotrwałym, jeżeli połata go, aby haniebnie nie przeciekał, jeżeli biedne nasze domostwa odnowi chociaż trochę. Gdy zaś zdobędzie się jeszcze na jaką skromną przybudówkę, to będzie już miała wdzięczność naszą z wieńcami, śpiewami, kto wie nawet czy nie z pomnikami. O, bo my strasznie lubimy być wdzięczni. Pan Paderewski wie o tym chyba najlepiej... Dla nas — to prawdziwa przyjemność pracować — szczególniej za granicą... Powiedziano bez przesady i tylko z odrobiną ironji!...

Niechaj więc demokracja nasza nie obiecuje nam wiele. Przeciwnie, niechaj obiecuje nam mało, nawet mniej, niż może, bo będzie wówczas miała sposobność do urządzania miłych niespodzianek. Ale jedno — niechaj obietnic swoich dotrzymuje, lub przynajmniej niechaj widocznie i naprawdę stara się o ich dotrzymanie.

Nie obiecywać wiele, ale to, co się obiecało, dawać rzeczywiście — oto naczelna maksyma wszelkiej polityki pozytywnej w ogólności, a demokratycznej w szczególności. Demokracja zaś,

przechodząc do władzy i rządów, musi stanąć na gruncie pozytywnym. Minęły czasy, kiedy wolno było bezkarnie z wysokości lwowskiego ratusza grzmieć frazesami, które huczały jak dzwony i próżne były wewnątrz, także jak dzwony. Wówczas frazesom nie towarzyszył także obowiązek odpowiedzialności. Władza, to nie tylko przyjemność i osobisty pożytek. Jest ona w tej samej mierze także i odpowiedzialnością, nie tylko za czyny, ale także i za słowa, które w ustach nowożytnego polityka są właśnie n jważniejszymi czynami. Odpowiedzialnym zaś można być tylko za to, co jest lub być może, nie zaś za to, co stanowi przedmiot mniej więcej śmiałych marzeń i snów o potędze wszelakiej. Odpowiedzialność tedy wyrastać może jedynie na gruncie pozytywnym realnych i nadających się w danych warunkach do realizacji dążeń i postulatów.

Bez gruntownej rewizji zasadniczego programu demokratycznego i bez tego osobistego wysiłku, jakiego wymaga zmiana metod taktycznych partyj demokratycznych, nie spełnią one swojego zadania społecznego i narodowego, tym bardziej, że jest ono bardzo trudne i bardzo skomplikowane.

HOŁD LIMANOWSKIEMU.

I. MOWA Dr. ALEKSANDRA LISIEWICZA, WYGŁOSZONA w DNIU 8-GO GRUDNIA 1910 R. PODCZAS UROCZYSTOŚCI JUBILEUSZOWEJ.

Czcigodny Obywatelu!

Z dumą i radością wita Cię w swych murach obywatelstwo naszego kresowego grodu.

Czujny lew położył się tutaj ongiś na straży wielkich skarbów narodowych i bronił niezłomnie ich blasku i jasności przed naporem dziczy i pogaństwa. W cgniu dział, w szczęku oręża hartowała się tu nieustannie jasna, niepokalana myśl wierności przysiędze, stałości przekonań. Czasu wolności składał ten gród hołdy swym królom i hetmanom, a nie zszedł nigdy ze swej jasnej, pięknej drogi.

Padły warowne ongiś mury, na Wawelu spoczęły nasze króle i hetmany, niewola zgarnęła w swe pęta i ten piękny, dumny gród...

Ale zabrawszy przemocą ciała, nie zabrała niezłomnej, niepokalanej myśli i duszy.

I oto, wierny swemu nieśmiertelnemu początkowi, duch polski w ciągu wiekowej przeszło niewoli, dźwigał i tutaj swe syny na szczyty ofiarnego poświęcenia.

Legiony i orły napoleońskie, barwne rabaty listopadowców i granat gwardzistów, białe krzyże na piersiach żuawów i ciemne burki powstańcze na ramionach, wszystko, co było i blaskiem nadziei i smutkiem upadku, co było i chwałą i nieszczęściem narodu — wszystko to przeżyli synowie tej ziemi wespół z całą Polską!

Walczyli i padali u wyłomu, zapełniali kazamaty więzień i dźwigali ciężkie kajdany niewoli — nieśmiertelny duch Wielkiej Ojczyzny niepokalanymi skrzydły chronił ich piękne dusze wzlatujące ku wyżynom, niedościgłym dla zwykłych zjadaczów chleba.

Przeminął ten wiek nieustannych zmagań się, walki o wolność, przeminęły te dni wielkiej chwały i wielkiego smutku.

Na sen wieczny poszły całe pokolenia ofiarnych synów ojczyzny, a nieraz tylko bujniejszy kwiat znaczy te ślady, kędy oni walczyli i z orężem w dłoni padali...

Na tułaczkę wśród obcych lub na twardą niewolę w zauralskie tajgi skazał ciężki los innych...

Zamierać poczęła piękna, wielka pieśń i tylko kędyś, w tajemnej ciszy odludzia, jakimś cudem ocalały jakiś niedobitek wielkich dni, gwarzył coś zdumionej młodzi o nie tak dawnej chwale polskiego oręża w ostatniej walce z przemocą, w walce, której echo niestety tak rychło przebrzmiało...

I oto w tę smutną dobę ciszy i upadku ducha padło Twe słowo, Czcigodny Bardzie nieśmiertelnych polskich epopei niepodległościowych!

I oto zagrałeś na strunach duszy polskiej starą przecudną pieśń marszu bojowego:

»przejdziem Wisłę, przcjdziem Wartę«

i przypomniałeś piękne hasło:

»Hej, kto Polak na bagnety!
Żyj swobodo, Polsko żyj!«

i ożywiłeś naszą myśl wspomnieniem, jak to:

»grzmią pod Stoczkiem armaty,
błyszczą białe rabaty.«

Własne wojsko i dumne postacie bohaterskich wodzów, Belweder i Olszynka, Bem i Dwer-

nicki, Paszkiewicz i krwawy Mikołaj, „żadnych marzeń“ Aleksandra i wielkie marzenia Sierakowskich i Dąbrowskich, „złota hramota“ nieśmiertelnych i ukaz despotycznego margrabiego, Langiewicz i Mierosławski, Żyrzyn i Kobylanka, Traugutt i Giller — dni słońca i dni smutku, wszystko to przedstawiały narodowi księgi Twoich Rapsodów...

A równocześnie budziłeś z uśpienia dawną wielką myśl praojców naszych, co w zaraniu młodości Twojej głosili zdumionej Europie, spowitej w ciężkie pęta despotyzmu, nieśmiertelne hasła wolności i zapowiadali odrodzenie Polski, której posłannictwo nie jest dokonane.

„Odrodzona, niepodległa Polska demokratyczną będzie“, głosili oni.

Ty, dostojny Tułaczu, nie tylko przez całe swe życie to samo hasło wygłaszałeś, ale nadto jako niezłomny rycerz stałeś na straży jego niepokalanej czystości i własną pracą dałeś żywy przykład, jak je w czyn wprowadzić!

Wierny przykazaniom ojców naszych razem z towarzyszami młodości wykuwałeś własną dłonią twardą drogę, prowadzącą do wolności i w ślad za tym poznałeś rozkosze cytadeli, etapów, zesłania.

Nie obcą Ci była tułaczka emigrancka po własnej ziemi, bolesne dla duszy zawody i zdrada wśród własnej braci. Poznałeś także na własnej osobie, jak dziwne tajniki mieści w sobie nowoczesna polityka państw konstytucyjnych, w których sporo jest ustaw o swobodzie słowa i przekonania, ale nie mniej wiele a czasem jeszcze więcej bywa poufnych poleceń i wiecznie żywych rozporządzeń z czasów despotyzmu, rozporządzeń usuwających przeszkody w wygodnym rządzeniu.

Na własnej ziemi, „co wyżywić mogła-by pół świata“ polityka Targowicy wydarła Ci odrobinę chleba i spokoju do pracy, a mimo tego poszedłszy na ciężką tułaczkę wśród obcych, nie straciłeś ani serca dla swoich, ani zapału do dalszego działania.

Dziesiątki lat spędziłeś wśród znoju i trudu, aby dla własnego narodu wskazać drogi dla pracy narodowej i społecznej, drogi wiodące do przyszłego odrodzenia ojczyzny.

Z prawdziwym podziwem patrzymy teraz wstecz na szlaki, które przebyłeś, ze zdumieniem ogląda naród ogrom dorobku, który mu przysporzyłeś.

Ale ponad wszystko myśl i serce lgnie do tej jednej książki, której narodziny przed Kościuszkowską setną rocznicą nasz właśnie kresowy gród oglądał. To Twoja „Stuletnia walka“.

Przed tysiącami lat w pięknej dolinie Alfejosa, wśród świętego gaju olimpijskiego Hellenodikowie wprowadzili, jak głosi podanie, sędziwego Herodota w tłumy Hellenów i postawili go przed narodem, aby cała Hellada własnymi oczyma oglądała i słyszała starca, co potomności przekazał nieśmiertelne zapasy Leonidasa pod Termopilami.

Dzisiaj w Tobie, Dostojny Obywatelu, cała Polska ogląda sędziwego naszego Herodota, co przeżywszy w niespożytej pracy i znoju trzy ćwierci stulecia, skrzętnie spisywał Leonidasowe zapasy polskich bohaterów i całą ewengelię świętej stuletniej walki o niepodległość zebrawszy w całość, potomności na wzór i przykład ją zostawił. I o to za tę niespożytą Twoją pracę dziesiątki lat już trwającą, za niezłomność przekonań, za niestrudzoną walkę w obronie idei postępu, wolności i niepodległości narodowej, dzisiaj w zaraniu świtania nowej doby, którą już rozpoczął sen „o rycerskiej szpadzie“, oczy nasze z radością oglądają sędziwego świadka, uczestnika i barda nieśmiertelnej epoki i przez moje usta cała postępowa i demokratyczna Polska składa Ci hołd i cześć!

II. MOWA GUSTAWA DANIŁOWSKIEGO.

Obywatelu Limanowski — jako przewodniczący komitetu, który zapragnął złożyć hołd twym zasługom i pokłonem czci wymazać z twej pamięci krzywdę wygnania, dziękuję Ci serdecznie za to, żeś pozwolił nam nietylko obcować z twym podniosłym duchem, ale oglądać twą szlachetną postać.

Towarzyszu Limanowski — składam ci cześć w imieniu tych, którzy tu z Królestwa nie przyszli, bo zatrzymała ich męczeńska mogiła, kazamaty, kajdany lub wulkaniczny podziemny w kraju trud — w imieniu zwyczajnych szeregowców P. P. S. — której byłeś duchowym ojcem, a stałeś się chorążym i wodzem. Tyś to przed 17-tu laty, gdy myśl socjalistyczna wyzwolona z powijaków doktryny zapragnęła objąć rewolucyjnym swym ogniem całokształt interesów ludu i narodu — podparłeś sprawę niepodległości swym dostojnym ramieniem.

Dźwigałeś ją długo, jak Atlas glob — sam jeden tuliłeś na piersiach ocalony z pobojowisk krwawy sztandar powstania, by buntownicze to godło przytroczyć do drzewa naszej sprawy i stanąć z nim na czele nowych wolności szermierzy.

Z dalekiego Paryża płomienie twego ducha przemycały się przez kordony i książki twoje, na których uczyliśmy się ze łzami imienia naszej ojczyzny i poznawaliśmy święte rysy poległych za nią bohaterów, do których ty nietylko z ducha, ale i z twarzy rażąco jesteś podobny.

Towarzyszu Limanowski — ty musisz się czuć i teraz szczęśliwy, bo oto hasło twoje, niech żyje Polska niepodległa! — powtarzają dziś konające usta mordowanych w noc ciemną na stokach cytadeli, rzucają w twarz siepaczom jako przedzgonną ostatnią przysięgę, śmiertelnej walki dumne wyzwanie.

Nie za rzeczywistość, która jest jeszcze odległą, ale za pieśń o tej rzeczywistości, która stała się melodją twojego życia, są już gotowi ludzie iść na kule, na stryk, na męczeństwa katorg.

Nie zwyciężyli ci, co cię wydalili z tego miasta.

Tyś zwyciężył.

Wodzu zwycięski, na krzyżu z mieczów składamy Ci żołnierską naszą wierności przysięgę, ślubujemy Ci miłość dozgonną i pamięć wieczną.

Trudem pracy, trosk. wysiłkiem myśli — poryte twe oblicze. Biała głowa dostojna siwizną, a jednak masz więcej życia przed sobą, niż za sobą.
Ideały twe, związane nierozerwalnie z twoim imieniem, będą szły z pokolenia w pokolenie, będziesz świecił na mrocznym niebie Polski, jak te złote gwiazdy, które tylko zachodzą, ale szybko wracają i nie gasną nigdy. A w dzień tryumfalny, gdy zerwiemy pęta, gwiazda twoja stanie nad nami i rozpali się w słońce. Poznamy cię po świetnym blasku i zawołamy: „Witaj w jasnej chwili słoneczny Ojcze nasz!“



TADEUSZ GRUŻEWSKI.

O t. zw. FRONDZIE N. D-CJI.

Od paru lat w naszej prasie spotyka się różne wzmianki o t. z. frondzie N—D-cji. Nazwę tę wymyślili prawowierni członkowie stronnictwa, dając nią do zrozumienia, że odszczepieńcy nie przestają być pod względem kierunkowym endekami, że tylko w danej chwili „frondują“, lecz już jutro mogą wrócić na łono „obozu narodowego“. Do tendencyjnej nazwy przyczepiło się dużo nieporozumień, wypływających z nałogu operowania utartymi szablonami i zdawkowymi wyrazami; nieporozumienia te zwiększa jeszcze taktyka partyjna endeków, a niekiedy i ich przeciwników. W rezultacie krąży w opinji legenda o frondzie endeckiej, która przyczynia się tylko do zamętu w naszej myśli politycznej.

Obejmowanie wspólną nazwą i łączenie w jedną całość tych wszystkich, którzy kiedykolwiek byli w szeregach N—D-cji i wystąpili stamtąd, jest albo tendencyjnym fałszem, albo niedorzecznością. W ostatnich kilku latach różne jednostki zrywały ze stronnictwem N—D-cji z rozmaitych często biegunowo-przeciwnych motywów. Występowały przeważnie pojedyńczo, niekiedy małymi grupkami, wiązały się z innymi stronnictwami lub pozostawały same, zajmowały się w dalszym ciągu zagadnieniami polityki narodowej, lub przestawały się nią interesować. Największą ilościowo secesję wywołała polityka neosłowiańska. Przypada ona na letnie miesiące roku 1908-ego. Wtedy to utworzyła się grupa, która wystąpiła z odezwą do społeczeństwa i zaczęła wydawać obok miesięcznika „Polska“ dla ludu, jeszcze organ dla inteligiencji „Myśl Wszechpolską“.

Grupa ta zdołała jednak skupić tylko część secesji, która w tym samym czasie opuściła szeregi stronnictwa. Tym mniej mogła liczyć na przyciągnięcie żywiołów, które ją uprzedziły. Neosłowianizm nie przyszedł niespodzianie — był on dalszym krokiem na oportunistycznej i ugodowej drodze, którą kroczy to stronnictwo za swymi wodzami oddawna. Grupa jednostek, które pozwoliły się doprowadzić do samego bagna słowiańskiego i ocknęły się dopiero wtedy, kiedy usłyszały słynne „bez zastrzeżeń“, grupa taka nie miała danych do stwierdzenia swej samodzielności moralnej i umysłowej czy to w zakresie czynu, czy tylko myśli politycznej. Pozostała do końca oderwanym ogonem N—D-cji, któremu żadna nowa głowa urość nie chciała. Grupie tej nadano w kołach prawowiernej N—D-cji nazwę frondy, ona zaś, jakkolwiek zaczęła występować w chatakterze partji, nie przybrała żadnego innego miana, akceptując tym niejako przydomek „frondy“. Powtarzam tedy: pod frondą rozumieć należy grupę, która się oderwała od N—D-cji latem r. 1908, zorganizowała w partję z organami „Myślą Wszechpolską“ i „Polską“.

Fronda zachowała ideologję endecką i nie rozumiała, że przedewszystkim od niej musi się wyzwolić, jeżeli pragnie zostać czymś innym, niż oderwanym ogonem N—D-cji. Zaraz na wstępie do samodzielnego żywota narzucało się jej zasadnicze pytanie, którego nie można było zostawić bez wyraźnej odpowiedzi: jakim przyczynom należy przypisać moralne bankructwo N—D-cji? Czy powstały one dopiero na tle występów dumskich, czy też trzeba ich szukać w latach poprzedzających ostatnią wojnę i kryzys rosyjski? Jaką wartość ma t. z. kierunek demokratyczno-narodowy i jego ideologja? Czymże wreszcie była naprawdę N—D-cja, rozważana w perspektywie lat kilkunastu i w świetle późniejszych doświadczeń?

Pytania powyższe pozostały całkiem obce frondującym umysłom, Czuły one, że jest źle, widziały, że stronnictwo, które na rok przed wojną zwalczało wystawę wszechsłowiańską, samo grzęźnie w panslawistycznym bagnie, ale nie umiały wyjść po za czysto zewnętrzne i powierzchowne traktowanie sprawy. W swych odezwach i pismach skarży się fronda na „przewodników“, że zboczyli z dawnej drogi, że znaleźli się na manowcach ugody i panslawizmu. Owa dawna droga nie nastręczała widocznie frondzie żadnych wątpliwości. W tym tkwił niewątpliwie błąd zasadniczy, który na całej działalności frondy wyciska piętno roboty straconej.

Jeżeli fronda pragnęła odnowić, odświeżyć N—D-cję, to winna była pamiętać, że ruch ten powstał i rozwijał się na gruncie radykalnym. Tylko w tym ideowym charakterze zdobył ów pęd moralny, który go i później ożywiał, jakkolwiek w coraz słabszym stopniu. Degieneracja polityczna N—D-cji idzie równolegle z tendencją stronnictwa do oparcia się nie na żywiołach ludowych, lecz na „społeczeństwie“ t. j. na warstwach średnich i wyższych. Należy jeszcze podkreślić, że w pierwotnej swej formie kierunek ten był tylko odruchem lepszych instynktów narodowych, przybierających sobie za tło radykalno-demokratyczne tradycje bez ściślejszych wskazań programowych. Ideologja programowa kierunku a następnie stronnictwa rozwijała się na gruncie ciążenia niewielkiej grupy ku „społeczeństwu“ i pod wpływem tego ciążenia. Na drodze od radykalnego podłoża do „społeczeństwa“ i interesu ogólno-narodowego tworząca się ideologja demokratyczno-narodowa okazywała pewne pozory czegoś nowego.

Temu złudzeniu ulegali nie tylko zwolennicy i wyznawcy, lecz nawet sami twórcy ideologji demokratyczno-narodowej. W ich pojęciu była to jakaś nowa demokracja, różniąca się od swych poprzedniczek cnotą realizmu politycznego oraz tym,

że za podstawę i punkt wyjścia swej działalności przyjmuje interes ogólno-narodowy. Ta demokracja mogła wprawdzie bronić swych interesów, ale w sprawach dotyczących całości narodowej miała dążyć do zgodnego współdziałania z innymi warstwaml. Program N—D-cji chciał oprzeć politykę narodową na aspiracjach społeczeństwa jako całości w jego obecnym ukształtowaniu hierarchicznym. Budzące się warstwy ludowe miały tylko pomnażać jego siłę.

Zasadniczy błąd powyższej koncepcji zawiera się w dowolnej, a zgoła fałszywej kwalifikacji politycznej t. z. „społeczeństwa“, t. j. warstw średnich i wyższych.

Nie tylko sposób myślenia tych warstw, lecz co ważniejsza ich instynkty i nałogi są nawskróś ugodowe i nie ma sposobu skłonić ich do popierania innej polityki niż ugoda. Rzecz prosta, mowa tutaj o popieraniu szczerym, gdyż właśnie wśród warstw tych panuje zwyczaj używania i nadużywania frazesów patryjotycznych przy lada sposobności. Gdy jednak przyjdzie do czegoś rzeczywistego, słychać zawsze stereotypowe zdanie, że prawdziwy patryjotyzm wymaga trzeźwości i realnego stosunku do dobra narodowego i że właśnie te cnoty należy pielęgnować i uprawiać w interesie lepszej przyszłości.

Trudno przeczyć, iż w czasach przedwojennych niejeden mógł żywić illuzję co do wartości politycznej społeczeństwa polskiego. Pozostawało tylko uwierzyć słowom ludzkim i łatwo było dojść do wniosku, że głoszona przez demokratów niewiara w narodową wartość klas średnich i wyższych jest doktrynerstwem. Przecież t. z. inteligiencja umiała wcale ładnie rozprawiać i popisywać się ze swymi aspiracjami...

Kryzys rosyjski rozprószył wszelkie tego rodzaju illuzje. Niemal laboratoryjnie stwierdzoną została niemoc moralna naszych żywiołów konserwatywnych i przesądzony został los tych wszystkich dążeń, które z pierwiastków naszego konserwatyzmu chcą czerpać siłę.

Kto się na nich chce opierać, ten chociażby dzisiaj całkiem szczerze zarzekał się ugodowych łamańców, jutro wstąpi z pewnością na tę drogę, gdyż zostanie popchnięty przez swój własny obóz.

Fronda nie rozumie głębszego sensu, jaki płynie z bankructwa N—D-cji. Nie rozumie, że poza karjerowiczostwem przewodników endeckich, odegrała fatalną rolę postawa szerokich kół naszego ogółu, które uroiły sobie, że przyszedł czas ufundowania na gruncie państwa rosyjskiego nowej stańczykierji. Koła te popierały polityków endeckich i właśnie najmocniej i najwyraźniej pochwalały ich ugodowe popisy.

Jak N—D-cja została drugą ugodą, tak fronda, usiłując szczepić aspiracje na spróchniałym pniu naszego konserwatyzmu, w najlepszym razie mogłaby zostać drugą endecją. Atoli w obecnych warunkach i o tym nie może być mowy. W chwilach ożywionego ruchu radykalnego z konserwatywnych kół naszego ogółu możnaby jeszcze wycisnąć jakąś nową endecję, ale w okresie reakcyjnym podobna próba z gory jest skazana na zupełne niepowodzenie.

Nie można odmłodzić stronnictwa, które naturalną drogą doszło do starczego zniedołężnienia.

Fronda, zdaniem moim, nie ma żadnej przyszłości. Jej organ dla inteligiencji, „Myśl Wszechpolska“ po dwuch zeszytach przestał wychodzić. Działalność partji niczym się nie zaznacza. Trudno nawet wiedzieć. czy w chwili obecnej partja jako organizacja istnieje, czy też już poszła w rozsypkę.

Zwolna postępuje proces występowania nowych osi krystalizacyjnych i nowych kierunków. Umarłych należy prędko grzebać, jak radził Mochnacki, a nie trwonić czasu i siły nad odmładzaniem tego, co już cuchnie rozkładem.

JULJUSZ KADEN.

O SZTANDARZE.

— Krzywda — bogini.

Są, którzy zstąpili do podziemi i łupią głuche bezbrzeża.

— Są — którzy...

Ich piersi chłoną czarną, zimną noc, ich płuca stają się kanwą, na której chwytki pająk niezdrowia wyszywa czarną noc, haftuje śmierć, grzebie grób.

Ich ręce żre proch jadowity, a na krwawych linjach dłoni sroga wróżka krwawą nicią żłobi i wróży ciężką niedolę i śmierć przedwczesną.

Ich grzbiet — to zniewolony łuk, kusza wysiłku, z której tryskają ramiona, zbrojne w ostry ząb topora. Ten ząb łupie i tnie, szarpie i gryzie nieobjęte czarne przewody: złogi i pokłady tajemniczych wnętrzności żywota ziemi.

Są, którzy zstąpili mrowiem ślepych skałotoczy do ciemnych otchłani ziemi, i stunogą szybkością łupiąc zębem — toporem idą naprzód Póki gaz i woda przebitej puchliny nie zaleje, nie otruje, nie skazi i nie pochłonie. A wtedy zemrą, jako w fałdach ginącego potwora ginie i mrze rząd pasorzytów, pod skórę zaszłych.

— Krzywda — bogini.

A wtedy kto zasklepi ich ręce zbyt otwarte, zbyt chciwe, zbyt zachłanne — jako że nietylko chwytem, lecz i krwawem pęknięciem skóry, lecz i krwawą wargą ran chwytać chciały.

A wtedy kto rzuci kwiat i jaki na ich pierś rozdartą, zbyt chciwą, zbyt łakomą, jako że nietylko pospiesznym tchnieniem chłonęła czarny pył — oto leży rozwarta, niby wyważone wrota a za nią czarna moc płuc. Niby plaster miodu

słodyczą, tak przepojone są płuca owe czarną zmorą gorzkiej śmierci. Któż to ten cierpki czarny miód sposobił?

— Krzywda — bogini.

A wtedy kto, jakim światłem uraczy ich zamknięte źrenice, pijane czerwonym wyskokiem przetężenia? Kto namaści te stopy zbiegane, zbite, twarde jak kopyta?

Jaką, czyją mocą i kto podniesie kąty tych ust dokonanych?

Jaką muzyką, której lutni i kto napoi uszy ogłuchłe. z których płynęła śpiewem tysiąca dzwonów gorąca krew?

Kto znajdzie całun dość cudowny -- gdy ze złocistej pogody nieba całunu wić nie można — by spowił nim skałotocza, pogrzebanego w czarnym wnętrzu ziemi?!

Krzywda — bogini, nie widzi, nie słyszy, nie czuje.

Z jej oczu kamiennych, z oczu ciężkich, marmurowych spadają długie różańce łez. Słuch odumarł jej uszy. Drąży je i zapełnia wieczna cisza. W podkowę żalu zastygły jej usta. Na zwiędłym kwiecie warg wykwita tchnienie skargi i wyrzutu blaskiem próchna. A ręce krzywdy ciężkie, jak ręce Boga stworzyciela, ręce krzywdy niezmierne jak ból, biedne biedą wszystkich nędzarzy, strudzone wszystkim trudem, rozpaczne wszystką rozpaczą, zwilżone wszystkim potem, ranne każdą raną — leżą nieszczęsne na osnowie Losu i na krosnach Życia, powrozem Troski omotane.

Krzywda — bogini nie widzi, nie słyszy, nie czuje.

Są, którzy mieszkają na ziemi pod złotą łaską słońca pracujący. Ci żyją dotknięci czarem głodu. Szeroka ziemia jest stołem ich, las ciepłem, niebo szafarzem i opiekunem urodzaju, woda zbawieniem lub zgubą.

Są — którzy... Suchy post ojcuje im, żar swata, zima tuli, przednowek daninę z dzieci bierze. Macocha — burza uczy skromności, grad — hycel lodowym żwirem nadzieje ścina na pniu.

Uczą się nauk nigdy nie nauczonych, uczą się trudu niestrudzonego, bezdenne studnie cierpliwości drążą w sobie, uczą się strachu nieustraszonego.

Skromni są, rzekłbyś o niedolę swą zazdrośni, ziemia, zbiory, bydło — wszystko ma pierszeństwo przed nimi. Bo sami skromni są i ostatni — gorejący bezustanną troską i hartem żywiołu nad ziemią, nad stołem życia.

Krzywda — bogini nie widzi, nie słyszy, nie czuje.

Są, którzy odeszli z pól i lasów, od stołu pracy uprawnej.

Są — którzy... Pojmały ich żelazne pułapki, olbrzymie potrzaski dyszące ogniem, żarem, hukiem i gwałtem. Strawiły ich czeluście smoków smrodliwych, a po latach zgniecioną, wyżętą, zjarchaną ciżbę ludzką żenią precz.

Są, którzy weszli w trzewia kadłubów trzeszczących, i wytrzebiły ich do cna, na śmierć, na nic.

Są, którzy w pałacach ognistych dmą w dudy. Muzykanci śmierci dmą w czarne trąby i wydmuchują z nich tęczowe zjawy własnego zgonu. Ci dławią się warem płynącego blasku, ci są łatwozmiennym nawozem szklannych hut.

Są mularze, co rozrabiają białe ciasto wapienne, którym lepić i spajać będą wielkie domy. A w domach tych, z białej izby do izby, z komnaty do komnaty, z piętra na piętro, toczyć się będzie rozkoszny wąż kręgów złota. Ci są linoskokami, którzy huśtają się na pajęczynie wielopiętrowego rusztowania.

Są powroźnicy, co wyświechtaną dłonią plotą i głaszczą sznur, który ich kiedyś udusi.

Są ogrodnicy, którzy ręką opuchłą, z odgniotami jak wielki mętny agrest stroją torty z barwnych trawników.

Są, którzy łono nieskalanych gór, niby wrzód skira dłubią i drążą a wartki oskard rozsadza im dłonie.

Są kulawi, sierocy, bezdomni, co pełzną z miejsca na miejsce taśmą gościńca i w rowach, przydrożach, w prysku kamieni tracą jasność wejrzenia swego.

O ty! Nieuszanowane, nieszczęsne, żałośne ścierwo człowiecze.

Są ojcowie, którzy zazdroszczą podwórzowym brytanom, głodne dzieci, które pracować muszą na cień dobrobytu szczeniąt z pańskiego podołka.

Są dzieci, dotknięte jątrzącą łapą zawodowej choroby. Są dzieci, których oczy kwitną gorączką wysiłku, których piersi tchną pospiesznym tchnieniem naderwanego miecha, których serca dzwonią ubłagalnie.

Są dzieci, które w ostrych ryzach pracy zawcześnie zwiędły i wrychle umrą, złamane twardym kosturem zawodowej śmierci.

A wtedy, który maj i jakie słowo do ucha im powie? któru wiosna zcałuje jesień z tych twarzyczek zwarzonych, jaki żartowniś, który chochlik, który konik polny rozbawi?

Która niezapominajka da zapomnienie?

Który bratek z takim się bratem zbrata?

Który jaskier to czarne życie wesołą skrą roziskrzy?

Zerwie się w majestacie ślepoty swej krzywda — bogini.

Z hukiem piorunów polecą fałdy zgrzebnej jej kuty. Zakwitną krasnym blaskiem marmurowe oczy bogini, staną się dwiema krużami ognia. Zaprą oddech jej blade usta, gwiazdą siwych promieni powstaną włosy i wzniecą światłość wokół głowy utrudzonej.

Uniesie krzywda ręce z nad osnowy szarego Losu, puści ściętym biegiem krosna Życia.

Porwie zagasłe serca dziecka, krwawą nić bolesnej pracy do serca uczepi, wścibi je czółenkiem między osnowę. Raniącym sznurem troski garść omota i nuże tkać krwawą szmatę, czerwoną szmatę, krwawe ścięgno do ścięgna, nić do nici, krwawą strużkę do strugi, nić do nici, nuże tkać.

Wrzaskiem piorunów przenika się osnowa, sykiem błyskawic dygocą krosna, charczy u góry sznur Troski. Niby głowa wisielca, rozkołysana wichrem zadusznym, ręka krzywdy owita w przegubie twardym powrozem skacze i rzuca się raz, wraz.

— Tka.

Serce dziecinne sączy krwawą nić, krosna ją przywierają, łączą, spolą. Szmata się tka krwawa, płachta się ześcibia ogromna. Sztandar się rodzi.

Urodził się w podziemiu i na ziemi, na polu i w zagrodzie, w pańskiej stajni, i pod królewskim leżem padalców. Urodził się w chlewie niedoli, w oborze wyzyskanych i głębokiej kątnicy sprawiedliwych.

Rozskrzydli swe ramiona — krzyże, — krzywda — bogini. Serce dziecka, skarbonkę przyszłości zaszyje w płachtę czerwoną. A później z krosen ją zerwie i na wniebogłośny słup krzyku boleści ludzkiej sztandar on zasadzi.

I świśnie nim, wiejącym krwawo — i halnie pociągnie nim, jako tym przeogromnym skrzepem krwi ponad miałem ludzkiego próchna.

Więc nie padajcie duchem rycerze pracy. A oczy wasze niech mają siłę grotów i zwinność wężów.

Grotem wężowym niech idą oczy wasze aż do dna ludzkiej przemiany, aż do czynu, aż do przemienienia się krwi.

I niech nikt nie bluźni przeciw tym, co by przemienić — wiedzą — iż pierwej przelać krew należy.

Dr. EDWARD LEWIŃSKI.

POLITYKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

II.

INSURGENCI NA ZACHODZIE. — RUCH PRZECIWKO TRUSTOM. — NEO-NACJONALIZM AMERYKAŃSKI A KAPITAŁ.

Nazwę „insurgentów“ zyskała sobie grupka posłów do Kongresu, która głośny wniosła protest przeciwko wszechwładztwu „Speakera“, prezesa Izby niższej Kongresu, którego ogólnie nazywają carem Stanów Zjednoczonych. Ta bezprzykładna władza Speakera, o której poniżej będzie mowa, wynika z braku koncentracji władzy w systemie amerykańskim i z tego specyficznego regulaminu parlamentarnego, jaki z powodu tego braku odpowiedzialnego ministerjum, w Kongresie się przyjął.

System parlamentarny europejski składa całą odpowiedzialność za prawodawstwo na ministerjum. W Stanach Zjednoczonych niema ministrów, są tylko sekretarze różnych wydziałów rządowych, mianowani przez prezydenta i przed nim tylko odpowiedzialni (za wyjątkiem sekretarza skarbu, bezpośrednio odpowiedzialnego przed Kongresem).

Tradycja zabrania prezydentowi lub jego sekretarzom uczestniczenia na sesjach parlamentarnych, a tymbardziej brania udziału w dyskusjach nad projektami prawnymi. Prezydent, jako taki, nie może wnieść żadnego projektu prawnego. Corocznie jeno przesyła zaraz po otwarciu sesji kongresowej orędzie, w którym zwraca uwagę Kongresu na różne potrzeby krajowe. Jest to rodzaj programu parlamentarnego. Jeżeli większość w obu izbach Kongresu należy do tej samej partji, co Prezydent, i jest z nim w dobrych stosunkach, większość jego projektów przechodzi w prawa; w przeciwnym razie zostają tylko projektami.

Naturalnie Prezydent ma pewnego rodzaju oręż przeciwko Kongresowi, mianowicie, może nakładać veto na prawa, uchwalone przez Kongres. Wtedy tracą one moc obowiązującą, dopóki nie przejdą przez ponowne głosowanie przynajmniej 2/3 głosów w obu izbach. Jest to kwestją trudną, gdyż wtedy wchodzi w grę już i mniejszość parlamentarna, która ze względów taktycznych, a także z zemsty nad absolutną tyranją większości, głosuje przeciwko „bill'owi“.

Z takiej walki mało korzyści płynie dla kraju, ale trudno kogo winić za taki stan rzeczy.

Reguły parlamentarne amerykańskie są też swoistego rodzaju. Otóż, kongres co dwa lata obiera „Speakera“, zwykle człowieka, mającego długie doświadczenie parlamentarne, wytrawnego w zawodzie i zasłużonego partji. Speaker zaraz po obraniu mianuje wszystkie komisje parlamentarne. Z natury rzeczy składają się one z serdecznych i oddanych mu przyjaciół. Wszystkie projekty prawne, t. z. bill'e, Speaker odsyła do odpowiednich komisji. Żaden projekt nie może być poddany dyskusji w izbie, dopóki nie wraca z aprobatą komisji, której był poruczony. Projektodawca jest zupełnie bezradny wobec decyzji komisji. Pamiętać należy, że w Stanach Zjednoczonych rząd nie ma prawa przedstawiania żadnych projektów prawnych, a bill'e wszelakiej natury, poczynając od podatków aż do wystawiania pomników i udzielania emerytur weteranom, ich wdowom, krewnym i znajomym, są wnoszone przez pojedynczych posłów. W ten sposób np., w roku zeszłym nagromadziło się około 30.000 bill'ów, przedstawiających fizyczne już niepodobieństwo rozważenia wszystkich, nawet gdyby tylko po 10 minut każdemu bill'owi poświęcono. Większość tych bill'ów, dostawszy się do komisji, tam już zostaje pochowaną, nigdy światła dziennego nie ujrzawszy. Los bill'u zależy od osoby projektodawcy i od jego do Speakera stosunku. Poseł z mniejszości ma z natury rzeczy bardzo małe szanse. Przez uprzejmość koleżeńską niektóre bill'e mniejszości są przedkładane Izbie, ale już zgóry przeznaczone na zagładę.

Jeżeli mniejszość jest silna i Speakerowi na niej zależy, niektóre jej bill'e, rzecz prosta, dochodzą do godności prawa.

Tę i tak już olbrzymią władzę Speakera wzmacnia jeszcze więcej ta okoliczność, że w amerykańskiej Izbie posłów obstrukcja parlamentarna jest wykluczoną.

Jeżeli jakiś poseł stawia wniosek o zamknięcie posiedzenia lub stwierdzenia obecności quorum, albo czegoś w tym rodzaju, Speaker ma prawo niepoddania tego wniosku pod głosowanie na tej bardzo prostej zasadzie, że, jego zdaniem, wniosek jest... obstrukcyjnym (dilatory motion). I od tego niema apelacji.

Na rozwlekłych mowców Speaker również posiada bardzo skuteczne lekarstwo. Otóż, według regulaminu Izby komisje nietylko mają pierwszeństwo przed zwykłym posłem, ale prezes komisji może każdej chwili przerwać mówcy, o ile ma gotową do złożenia relację swojej komisji. I w takich

wypadkach na żądanie Speakera Demostenes nasz musi w tej chwili zakończyć swoją wspaniałą orację, tak dobrze obliczoną na gusta wyborców.

Jednym słowem, poseł każdy jest igraszką w rękach Speakera. Jeżeli poseł pragnie coś zrobić i coś niecoś dla swoich wyborców ze skarbca państwowego otrzymać, musi: przedewszystkim „być dobrze“ ze Speakerem i bez szemrania postępować tak, jak on mu nakaże; w przeciwnym bowiem razie niechybna śmierć polityczna czeka go przy następnych wyborach.

Z jednej więc strony — maszyna, z drugiej — Speaker! Od czasu do czasu jakiś błędny rycerz bez znaku, o kogucim usposobieniu a wymowny, wnosił grzmiący protest przeciwko tej uzurpacji praw „przedstawiciela wolnego narodu amerykańskiego“, „duchowego spadkobiercy Jeffersona i Lincolna“ etc. Zdobiło to stronice urzędowego „Recordu Kongresowego“ i tyle. Ale przy ostatnich wyborach Speakera opozycja przeciwko staremu wydze — Cannon'owi, który po raz, zdaje się, szósty już jest Speakerem, okazała się wcale poważna. Cannon mimo to przeszedł i natychmiast zabrał się do srogiego ukarania niewiernych. Żadnych urzędów i żadnych koncesji dla wyborców tych zabawnych śmiałków!

Gdyby ci rokoszanie jeno przeciwko formom parlamentarnym powstawali byli, Cannon byłby bez kwestji absolutnie zwyciężył; ale odwaga ich z innego źródła siły swe czerpała.

Cannon w Izbie posłów, a Aldrich, leader w Senacie, to dwa typowe i wybitne sługusy wielkich trustów i banków. Wszystko, co w Kongresie skierowanym było przeciwko potędze królów żelaza, wełny, nafty etc., marło śmiercią szybką a sromotną dzięki ich et consortes staraniom. Wszelkie usiłowania rozciągnięcia władzy federalnej na szerszą arenę ekonomiczno-społeczną ginęły daremnie. Jedna taryfa celna za drugą wydawała konsumentów na łup wielkich producentów.

„Insurgenci“ w Izbie i Senacie zdołali swym wyborcom wytłumaczyć, dlaczego im się nic ze „Swińskiej Beczki“ (Pork Barrel, tak nazywają amerykanie aproprjacje na prywatne bill'e, na budowy gmachów pocztowych, mostów, pomników etc.) nie dostało, dlaczego im t. z. „patronage'u“ odmówiono.

I powstał nowy ruch społeczny, bo ocknęła się świadomość tych dziecinnie optymistycznych i łatwowiernych mas narodu amerykańskiego. To spowodowało rozłam w republikańskiej partji, a kapitał porzucił „Starego Słonia“ i poszedł pod opiekę „Tygrysa“ (symbol demokratycznej partji), bo ten jest za jak najszerszą autonomją Stanów, rzeczą wielce dla trustów dogodną w myśl zasady „im mniej rządu, tym dla nas lepiej“.

Stąd taki zamęt, gmatwanina i chaos przy obecnych wyborach!

ROMUALD MINKIEWICZ.

SŁOWA ZATRWAŻAJĄCO SZCZERE.

IV. Czyżby Baedecker się omylił?

Zali nie przypominają nasi rodzimi i „czyści marksiści“ owych podróżnych, którzy znaszedłszy drogę, wiodącą do poszukiwanego przez nich Zamku „Inczoyable“, nie pójdą nią, gdyż w Baedeckerze jest ona „wskazana“ o dwie i ćwierć mili dalej?

I chociaż napis przydrożny wyraźnie tę drogę obwieszcza, miną ją i pójdą szukać dalej, tam, gdzie ją wskazał Baedecker.

A gdy na miejsce przyjdą „wskazane“ i drogi żadnej tam nie będzie, sądzicie, że wrócą, gdzie rzeczywista, choć „niewskazana“ droga wiodła?

Przenigdy! raczej błąkać się wieczyście, niż iść niewskazanymi przez Baedeckera „manowcami“!

Czyż nie tak prawowierni Żydzi, we dwa tysiące lat po przyjściu Jezusa, wciąż jeszcze przyjścia Jego oczekują?...

V. Tego nie wybacza.

Dwie są tylko winy, których współczesność nigdy nie wybacza.

Jedna z nich: być sobą czyli żyć własną prawdą.

Druga: mieć gienjusz.

A może to w najgłębszej istocie rzeczy jest to samo? Może gienjusz niczym innym nie jest, jak mocą stworzenia sobie własnej prawdy i wolą ku przeprowadzeniu jej, wbrew wszystkim i wszystkiemu?...

I taka jest ironja życia, że to, czego współczesność nigdy nie wybacza, jest tam właśnie, z czego rozwijać się, czym żyć ma przyszłość.

I przyszłość kląć będzie minione pokolenie za walkę nieszczęsną z jej Ojcem i Twórcą.

Atoli względem współczesnych jej gienjuszów, postąpi tak samo, jak ci, których przeklina.

Przygotuj się więc na to, bracie w prawdzie i twórczości, że wszelkich środków użyje świat, aby cię złamać, skoro żyć zechcesz prawdą twą własną.

Bowiem powiadam ci, miarą twej prawdy i twego gienjusza będzie wytrwanie twoje. Zmierzy je przyszłość.

I pomnij, nie jesteś samotny.

Za tobą bowiem i przed tobą biegnie promienna „duchów girlanda“.

VI. Monopol „biegłych praktyków“.

Pisał przed 82 laty z goryczy Stefan Witwicki („Gazeta polska“ Nr. 140, r. 1828), „Tym

sposobem na stanowisko reputacji i wziętości autorów zawiązało się niejakie monopolium przyznane pewnej liczbie mniej lub więcej biegłych praktyków“.

Sądzicie, że cośkolwiek się w tej mierze od owych czasów zmieniło? że ci, którzy wówczas nazywali Adama Mickiewicza (sic!) „śmierdziuchem“, a poezję romantyczną „zarazą i zdradą“, sądzicie, że pomarli?

Nie wiecież, o naiwni! że ci „biegli praktycy“, rządzący monopolem literackim, są nieśmiertelni?

Wszystko przemija, jedynie oni byli, są i będą, aż do spełnienia się czasów.

Zresztą, nie tyczy to tylko literatury, tak samo jest zawsze i wszędzie: monopol w dziedzinie prawdy, monopol w dziedzinie piękna, monopol w dziedzinie sumienia (religji, wiary, moralności), monopol w dziedzinie polityki „narodowej“ i nawet... w dziedzinie rewolucji socjalnej. Zawsze i wszędzie w ręku garstki, oczywista, „najbardziej biegłych“, „największych znawców“, „najlepszych specjalistów, „jedynie pewnych i kompetentnych“, „wyłącznie wtajemniczonych“.

VII. Cześć dla zawalidrogi.

Powiedzcież mi: czcicie „zasłużonego“ za czyn jego, czy też czyny za to, że je „zasłużony“ popełnił?

A jeśli, zasłużywszy się raz kiedyś postępowi narodu czy ludzkości, niweczy dalszymi „czyny“ zasługę poprzednich? a jeśli „zasługę“ swą kładzie wpoprzek dalszemu pochodowi?

Powiadam wam, gorsze to jest, zaiste, niż gdyby się nie był nigdy zasłużył. Bowiem cześć ku niemu, nieodróżniająca zasługi od zasłużonego, hamulcem się staje umysłom i duszom.

I mówię wam przeto, wolnymi jesteście od czci dla tego, kto nie czci w sobie swej wielkiej godziny, godziny czynu swego. I poprzez tego, kto, dufny w swą „zasługę“, kładzie się trupem bezdusznym w poprzek drogi, w przyszłość wiodącej, macie przekroczyć nie tylko prawo, ale i obowiązek.

Bowiem jest prawem i obowiązkiem narodu i człowieczeństwa iść dalej, w przyszłość.

VIII. Ludzkie to, arcyludzkie.

Dziwi cię i oburza, że nie chcą ciebie, twórcę młodego, samoistnego i mocy świadomego, uznać w obozie „Młodej Polski“?

Widzisz, tak ciężko rozstać się z młodością...

A dzisiejsza „Młoda Polska“, uznając dojrzałość twojej młodości, musiałaby uznać siebie za „starą“, za wczorajszą.

I przeto woli, zamknąwszy uszy na głos twój potężny, omawiać siebie i innych złudą nieprzemijającej swej wiosny.

Zrozumiej, abdykacja ponad jej jest siły. Nie gniewaj się o to. Aleć to sobie w sercu zapisz, abyś, gdy twoje Dziś nadejdzie, zachować chciał i zdołał wrażliwość na głosy Jutra.



Z TYGODNIA.

PRZESILENIE. Dzień 12-go grudnia r. 1910 historyczną stanowić będzie datę w dziejach parlamentu wiedeńskiego i w dziejach reprezentacji galicyjskiej: w dniu tym runął gabinet barona Bienertha, a cios ostatni, *coup de grace*, otrzymał z rąk Koła Polskiego.

Stała się zatem rzecz, w którą do ostatniej chwili wierzyć nie chciał sam premier, rzecz, w którą do ostatniej chwili nie wierzyło samo Koło Polskie, rzecz, w którą do ostatniej chwili nie wierzyło polskie społeczeństwo — oto Koło Polskie, przez długie lat dziesiątki niezawodna podpora każdego rządu, zdecydowało się nareszcie wyciągnąć konsekwencje ze swej wyjątkowo szczęśliwej pozycji w parlamencie, zamanifestować samą możliwość przejścia do opozycji z pozostawieniem rządu w mniejszości, samą możliwość walki. To wystarczyło. Gabinet, który zniósł cierpliwie *votum* nieufności, otrzymane przez uchwalenie wniosku Moraczewskiego o budowie dróg wodnych, nie ostał się wobec grożącego odrzucenia prowizorjum budżetowego. Bezwstydne urągowisko z prawomocnej ustawy o kanałach przyniosło mu zdawna zasłużoną zgubę.

Bohaterem dnia był prezes Głąbiński, w którego ręce złożyło Koło całą pertraktację z rządem. Nie jest zgoła stworzony ten lwowski profesor na męża opozycji, na bojownika.

Obalenie przezeń gabinetu wyglądało też na zgoła nie rycerskie, chytre dorżnięcie przeciwnika, skądinąd zaatakowanego i chwiejącego się na nogach... Działając, Koło Polskie pełne było lęku, przezorności, myśli o odwrocie Dzielny skądinąd obrońca sprawy kanałów poseł Kozłowski, wystawił jako *bete noire* samego tylko ukochanego rodaka, ekscelencję Bilińskiego — Bienertha zaś wybielił i w chwale ukazał wiernej społeczności. . Niechby i tak było! Niechby Koło Polskie, menażując koronę, „z głupia frant“ zwaliło wszystką odpowiedzialność za zaprzepaszczone kanały na Bilińskiego i niemniej godnego Dulembę. Jedno tylko we wszelkiej walce wypowiedziane być musi jasno, otwarcie i dobitnie: rzecz, o którą się walczy.

I oto organ polskiego regimentarza, „Słowo Polskie“, wykłada w mnóstwie korespondencji i artykułów, że tu nie idzie o same tylko kanały, nie nawet tak znowu głównie o kanały, jeno o to, że Biliński nie był w dobrych stosunkach z Kołem Polskim... Innymi słowy: użyliśmy sprawy kanałowej, by zdyskredytować nienawistnego ministra; co do kanałów pójdziemy na kompromisy, byle nie wrócił Biliński...

Opinia publiczna musi więc bacznie i czujnie śledzić politykę Koła Polskiego. Gdyby z przesilenia ministerjalnego nie wyniesiono ustawy nietkniętej i przeznaczonej do niezwłocznego wykonania, równałoby się to zaprzedaniu przyszłości kraju za fotele ministerjalne. Lecz ludzi, którzyby tego ważyli się dopuścić, przywitałby kraj niezawodnie, jako wywołańców i banitów.

(łk) PRZECIWNICY KANAŁÓW GALICYJSKICH powiadają pocichu, że kanały to w gruncie rzecz szkodliwa, bo przemysł zachodni zdobędzie nimi dogodną drogę, skutkiem czego słabo rozwijający się przemysł własny napotka nieprzezwyciężonego przeciwnika. Ubogim duchem, a jest ich sporo, którym takie argumenty trafiają do przekonania, przypominamy, że już w w. XVIII-ym żył człowiek, który podobnie rozumował Mówił on, że Polsce nie potrzeba miast, bo te są ogniskami zepsucia, że jej nie potrzeba wojska, bo król mógłby się pokusić o absolutum dominium, że jej nie potrzeba dróg i mostów, bo mógłby nimi wejść nieprzyjaciel. Mężem owym był An-

drzej Fredro, marszałek pierwszego zerwanego sejmu, obrońca złotej wolności, wojewoda podolski. Podole, jak stąd widać, miało od dawna szczęście do „podolskich“ wołów i „podolskich“ polityków. Tradycja miała na Podolu dużą powagę. W wiele lat później, któreś z miast podolskich broniło się przed koleją żelazną, bo to rzecz djabelska. Nie brak i dzisiaj mężów tradycji na Podolu. Może i ekscelencja Biliński urodził się na Podolu. Jeżeli nie, powinien tam zamieszkać na emeryturze i zgromadzić koło siebie przeciwników kanałów. Stamtąd mógłby robić piesze wycieczki na odpusty lub w szóstkę wołów jeździć na jarmarki do Berdyczowa. Przemysł krajowy nic na tem nie ucierpi i tradycja zostanie ocalona...

O MIEJSKĄ REFORMĘ WYBORCZĄ (A) Wtorkowe posiedzenie Rady miejskiej było niezwykle liczne i interesujące. Chciano by sprawa reformy wyborczej przestała już niepokoić większości Rady. Reforma wyborcza nie dała się jednak połknąć odrazu i zmusiła większość do wysłuchania wielu przykrych słów, które są tym przykrzejsze, że zostać muszą bez odpowiedzi!

Kiedy zabierał głos r. Ihnatowicz spodziewaliśmy się, że usłyszymy wreszcie obronę stanowiska i argumenty mieszczan. Każde jednak zdanie, nawet zaczynające się od słów „reforma wyborcza“ kończyło się w całkiem innej sferze, bardzo „oględnie“ dotykając sprawy właściwej. Gadać powinno się na komisji, a na radzie głosować — po co galerje mają słyszeć tak ostre spory — to dewiza r. Ihnatowicza.

A już zupełnie zawiodła nas ostatnia nadzieja usłyszenia obrony elaboratu ze strony referenta r. Neumanna. Poza odwołaniem się na spis ludności, i na zdanie, że „Rusini, Żydzi, robotnicy i kobiety“ to są te niebezpieczeństwa, których strzedz się należy, nie mieliśmy szczęścia usłyszeć ani jednego argumentu, którby projektu od ciosów tak bezlitośnie nań rzucanych bronić usiłował.

Jedną tylko rzecz widzieliśmy: paniczny strach przed wejściem reprezentantów partji socjalistycznych i jedno wyznanie, że zwalczać ich będą rr. Próchnicki i Przygodzki z jednakową siłą — w imię interesów polskich, bo... nie chcą poddać się autorytetowi Koła Polskiego. I słusznie protestował r. Pawlewski przeciw wyrokowaniu o patryjotyzmie i przekonaniach tych ludzi wbrew ich zdaniu i czynom, a w imię interesów swojej partyi i Koła Polskiego! Poza tymi atakami mowa r. Przygodzkiego oznaczała się bardzo oryginalną metodą wyciąganie wniosków. Powoływał się na demokratyczne mowy z lat czterdziestych, na argumenty Ziemiałkowskiego przeciw kurjom, aby — przychylić się do projektu komisji.

Przemówienie r. Śliwińskiego było oskarżeniem obecnego zarządu miasta, całego sposobu traktowania przez Radę interesów ludności. Kwestja zabezpieczenia interesów narodowych nie jest sztuczną tamą przeciw obcym, ale podniesienie sił własnego społeczeństwa, powołania do pracy publicznej nowych zastępów. Żadna martwa litera ustawy nie utrzyma „stanu posiadania“ jeśli nie podniesiemy kultury i oświaty, nie damy szerszym warstwom poczucia narodowej odpowiedzialności. Dość silnym jest, by zaufać sile polskiego ludu! A ta obawa, by nie dać czegokolwiek warstwom nieposiadającym (sprawa domu ludowego choćby!) jest burzeniem ołtarzy narodowych; niechęć do reformy wyborczej jest trzymaniem się foteli radzieckich — wołał r. Śliwiński zdumionej i niespokojnej większości Rady.

„Dopóki nie było w Radzie tych, imieniem których mówi r. Próchnicki, nie było tu kwestji ruskiej — mimo, że w Radzie byli Rusini“ mówił r. Lisiewicz. Jeżeli r. Próchnicki powiada, że rozstrzygać spory w Radzie musi ktoś trzeci — opozycja może poszczycić się tym, że ma dość siły, aby rozstrzygać bez „trzecich“. Jakże innym było stanowisko mieszczan w czasach Rzeczypospolitej, kiedy bronili całego ludu miejskiego. Jak inaczej wyglądał nawet projekt ordynacji wyborczej w r. 48, opierający się równości i powszechności zupełnej!

Koniec posiedzenia burzliwy. Większość uginała się pod ciężarem śmiałych i ostrych ataków. R. Neuman robił wrażenie, że chce jak najprędzej skończyć, byle nie słuchać już docinków lewicy, pozbyć się strachu, idącego od garstki opozycji, tego impetu, przypominającego atak husarji polskiej, którą reptezentują warstwy ludu walczącego Jak groźną jest sytuacja dla większości, dowodzi jeszcze oświadczenie r. Próchnickiego, że wbrew uchwale członków stronnictwa na podstawie zezwolenia „komitetu“ głosować będzie za reformą. Jak kiepską musi być sytuacja, kiedy dla paru głosów, naraża się na taki „blamaż“ w opinji publicznej!

POJEDNANIE. Po walce czteroletniej prawie nastąpiło pojednanie pomiędzy dwoma wielkimi odłamami młodzieży polskiej na politechnice lwowskiej: skupiającą się w „Bratniej Pomocy“ młodzieżą postępową, a zgrupowaną we „Wzajemnej Pomocy“, odszczepieńczym towarzystwie, młodzieżą t. zw. narodową.

Pozostała „Wzajemna Pomoc“, jako partyjna ekspozytura ND-cji, garstka zacietrzewionych fakcjonistów. Lecz 150 byłych zwolenników tego stronnictwa, zaliczających się dziś do odłamu narodowo-niepodległościowego, porzuciło odszczepieńcze stowarzyszenie, wróciło do Bratniej Pomocy, której Walne Zgromadzenie przyjęło umówione warunki: uznanie języka polskiego za urzędowy (z przyznaniem Rusinom prawa przemawiania po rusku) i zastrzeżenie mniejszościom ideowym reprezentacji w wypowiadaniu opinji towarzystwa. Z tą chwilą Bratnia Pomoc odzyskała niezaprzeczony charakter ogólno-technickiego towarzystwa, bez względu na różnice partyjne. Wygra na tem zdrowie moralne młodzieży lwowskiej. Przekonani bowiem jesteśmy, że w życiu młodzieży naszej zmieniło się wiele; etykietki „postępowy“ i „narodowy“ zatraciły zgoła sens pierwotny, sztuczne przeciwstawianie się sobie dwóch obozów wypaczało naturalne kształtowanie się poglądów i dążeń politycznych; że nadszedł czas, w którym różne kierunki — socjalistyczny, postępowy, narodowo-niepodległościowy, współistnieć będą mogły na wspólnym gruncie młodzieży polskiej.

ŹLE LOKOWANA TOLERANCJA. W listopadzie rb wydała „Filarecja“, stowarzyszenie polskiej młodzieży postępowo-niepodległościowej w Paryżu, odezwę do ogółu młodzieży polskiej, zawierającą ideowe wyznanie wiary tego zrzeszenia w duchu patryjotyzmu rewolucyjnego. Niestety, wkradła się do odezwy w jednym jej zwrocie nuta polemiczna, uwłaczająca podniosłości sprawy: zarzut, niedwuznacznie zwrócony pod adresem „Związku młodzieży postępowej zagranicą“, jakoby jego organizacje sprzeciwiały się dążeniom wyzwoleńczym Polski „na skutek ulegania wpływom nacjonalizmu żydowskiego“. Nie przeczymy, że jest w zarzucie tym szczypta prawdy. Są stowarzyszenia „związkowe“, w których rej wodzą elementa obce zupełnie wszystkiemu, co polskie, dzieci „krajowych cudzoziemców“, wychowane na iłowajszczyźnie rządowo-rosyjskiej, czy też bundowsko-luksemburskiej; są takie, gdzie przyjmuje się Rosjan, jako nie-cudzoziemców (jeden z ostatnich zjazdów „związkowych“ oklaskiwał gorąco pewnego pana z Paryża, protestującego przeciw nazywaniu Rosjan cudzoziemcami; był to niejako serdeczny akt organicznego wcielenia). Są więc w „Związku“ elementa rozkładowe, politycznie znieprawione jadem niewolnictwa i krytyka tej organizacji przez paryzką „Filarecję“ nie jest bynajmniej bezzasadną; błąd tkwi w zbytnim gieneralizowaniu; nie cały „Związek“ ulega wpływom pseudosocjalistycznej Targowicy. Natomiast błędem zasadniczym jest sprowadzanie tych czynników rozkładowych do jednego i wspólnego mianownika „nacjonalizmu żydowskiego“. Nie sami i nie wszyscy Żydzi są u nas dzisiaj wrogami dążeń wyzwoleńczych Polski: sekunduje dzielnie semickim czcicielom potęgi rosyjskiej rdzennie aryjskie i polskie zaprzaństwo... Takich zagadnień, tkwiących w samej duszy naszej współczesnej inteligiencyi i młodzieży upraszczać sobie nie wolno, przez nalepianie im etykietki rasowo-wyznaniowej. Niebezpiecznym jest tłumaczenie prądów, nurtujących społeczeństwo nasze, jako intrygi żydowskiej, bo drogą tą zajechać można dalej, niż się śniło niejednemu zapalonemu krytykowi słusznie tak zwanego socjal-litwactwa.

Czyniąc to zastrzeżenie co do jednego zwrotu, użytego przez odezwę filarecką, nie zgadzając się z jej namiętnym polemicznym tonem, tak powszednim zresztą na emigracji, nie myślimy przez to zgoła adwokatować tej lewicowej Targowicy, która „występuje w roli grabarza Polski“. Dla nas protest przeciw ujarzmieniu narodowemu, dążenie do narodowej jedności i wolności, będąc faktem politycznym, jest jednak zarazem wartością etyczną, przez którą jedynie Polak uzyskuje moralne prawo do uczestnictwa w życiu narodowym. „Ludziom innej pod tym względem wiary nie podamy ręki“ nietylko w przenośnym, ale i w dosłownym znaczeniu tego wyrazu. Przeto w stosunku do tych mieszkańców naszego kraju, którzy zwalczają „narodowość polską i ideały polskie“, hasłem naszym być winno — zgnieść nikczemnika, „*écrasez l' infame*“.

Innego zdania była komisja reprezentacyjna polskiej młodzieży postępowej we Lwowie. Wydała ona komunikat, w którym z wysokości swej ignorancji w obec życia młodzieży polskiej na obczyźnie „piętnuje“ stanowisko „Filarecji“ paryskiej, znakami niedowierzania zaopatruje zwrot o jednostkach „odrzucających narodowość polską i ideały polskie“, ubolewa nad „nietolerancyjnością“ paryskich filaretów względem kolegów „którzy nie godząc się na pewne postulaty polityczne, reprezentują jednak pewną wartość w rozwoju myśli polskiej“. Tak więc uznawanie prawa własnego narodu do wyjarzmienia jest takim sobie „pewnym postulatem politycznym“, a teoryjka organicznego wcielenia (wszystko, co panowie z pod znaku lewicowej Targowicy wnieśli w rozwój polskiej myśli), przedstawia jednakże „pewną wartość“...

„Komisja reprezentacyjna“ lwowska jest ciałem federacyjnym, reprezentującym różne odłamy młodzieży niekoniecznie w harmonji z istotnym ustosunkowaniem przekonań; tym razem jednak panowała w komisji jednomyślność; komunikat podpisali dwaj polscy postępowcy, wyznający ideę niepodległości, a „tolerancyjne“ potępianie „Filarecji“ wyszło z pod pióra — socjalisty-niepodległościowca... Doprawdy, mdło się już robi od tej poczciwej „tolerancji“ naszej, wszechobecnej tam, gdzieby należało murem stać przy sztandarze...

RZECZNIKOM „TOLERANCJI“ DO SZTAMBUCHU. Jak wygląda w praktyce działalność owych „kolegów, którzy nie godząc się na pewne postulaty polityczne, reprezentują jednak pewną wartość w rozwoju myśli polskiej“, snadnie przekonać się można z następującego dokumenciku, który taki właśnie „kolega“, niejaki K. Radek, pracujący w niemieckim dzienniku socjalno-demokratycznym „Leipziger Volkszeitung“, zamieścił na jego łamach:

„Nacjonalistyczne ataki (*Vorstösse*). Zarząd naszej polskiej organizacji w Prusach zdaje się partji ogólnej chcieć dowieść, że niczego się nie nauczył i nic nie zapomniał. Aczkolwiek przez uznanie programu erfurckiego wyrzekł się oficjalnie polskiego nacjonalizmu, pomimo to wciąż na nowo przemyca go do działalności partyjnej. Wystarczy, że przytoczymy choć kilka tylko faktów z ostatniego czasu: 1. W sprawie grunwaldzkiej stanął najpierw po stronie galicyjskich socjalnacjonalistów, aby następnie pozostawić polską organizację całkiem bez hasła, i ani jednym słowem nie powiedzieć polskiemu proletarjatowi, co należy sądzić o mieszczańskiej hecy przeciwko Niemcom. 2. W sprawozdaniu na międzynarodowy kongres w Kopenhadze oświadcza polski zarząd partyjny, że stoi na wspólnym gruncie z socjalnacjonalistycznymi partjami Galicji i rosyjskiej Polski. 3. W Kopenhadze jedyny tamże obecny zastępca polsko-pruskiej organizacji przyłącza się do socjalnacjonalistycznej sekcji, a nie do socjaldemokratycznej sekcji polskiej delegacji. 4. W oświadczeniu, które Zarząd publikuje w numerze 122 „Gazety robotniczej“ przeciwko pewnej grupie nacjonalistów, chełpi się wprost z faktu, że dwaj jego członkowie zostali zaczepieni jako socjalnacjonaliści przez „Leipziger Volkszeitung“, co on przytacza na dowód swych socjalnacjonalistycznych zapatrywań. 5. Zarząd naszej polskiej organizacji ogłasza odezwę wspólnie z socjalnacjonalistami rosyjskiej Polski i Galicji, w której wzywa organizacje partyjne do udziału w obchodzie jubileuszowym dla weterana socjalnacjonalizmu Bolesława Limanowskiego.

Polscy towarzysze partyjni, którym polski Zarząd partyjny nie podaje żadnego głosu, zwracającego się przeciwko tej polityce, nie mają pojęcia o tym, że rzeczy te są atakami przeciwko umowie zjednoczeniowej polskiej i niemieckiej organizacji i dlatego zwracamy się przeciwko niej, przekonawszy się, że nie rozchodzi się już o okolicznościowe wystąpienia, lecz o daleko więcej“

Każdy czytelnik, najmniej nawet wtajemniczony, pojmie o co idzie. Oto polski „luksemburżanin“, tkwiący w niemieckiej redakcji, trąbi tam pobudkę bojową przeciwko polskiej organizacji robotniczej, za to, że organizacja ta nie wyparła się polskości...

Sądzimy, że autor artykułu w razie przyjazdu do Lwowa doznałby gościnnego przyjęcia od niepodległościowców, zasiadających w postępowej komisji.

W SPRAWIE NAUKI STRZELANIA W SZKOŁACH ŚREDNICH. Latem rb. ministerjum obrony krajowej we Wiedniu wydało okólnik do wszystkich dyrekcji zakładów naukowych w Austrji z propozycją wprowadzenia dla młodzieży klas najwyższych nauki strzelania, oraz innych kursów wojskowych. Krok ważny, świadczący o tym, że duch nowoczesny olbrzymie czyni postępy w armji austryjackiej; innowacja, mogąca być pierwszym krokiem do zdemokratyzowania armji, do stworzenia milicji obywatelskiej. Na innym miejscu, a w najbliższym czasie pomieścimy artykuł, przedstawiający doniosłość owej innowacji dla wyzwoleńczych dążeń polskich. Znaczenie to pojęła nasza młodzież; pisma jej, „Promień“ i „Zarzewie“ wypowiedziały się stanowczo za gorącym udziałem młodzieży w mających powstać kursach wojskowych.

Minęło lato, jesień minęła. Kursa wojskowe nigdzie nie powstały. Nie powstały oczywiście w Galicji. Doznały przed urodzeniem cichego pogrzebu w biurkach dyrekcyjnych. Władze szkolne rozważają widocznie z właściwą im powolnością sprawę: czy nauka strzelania dobrze, czy źle wpłynąć ma na młodzież?

Jest gorzej. Pojawiają się głosy i to wśród postępowego nauczycielstwa, w niektórych kołach Tow. naucz szkół wyższych, że należy zwalczać innowację „a to celem uniknięcia oddziaływania na młodzież czynników wojskowych“. Jest to pomyłka i fatalna pomyłka. Te „czynniki wojskowe“ — zredukowałyby się de facto do polskiego demokraty, czy postępowca, łączącego w sobie charakter nauczyciela — i oficera rezerwy. Od nauczycieli zależy, by zapobiec wszystkiemu, co złego mogłyby wnieść kursa wojskowe w szkołach, rozwinąć zaś tkwiące w kursach tych zadatki odrodzenia fizycznego i duchowego młodszych pokoleń.

Errata. W artykule Dra Gumplowicza w zeszycie XI. „Życia“, str. 161, lewa kolumna, wiersz 30 z góry, zamiast „żądaną Unję belgijską“ czytać należy: „żądaną przez Unję belgijską“.

KSIĄŻKI NADESŁANE Szymon Tokarzewski: Na tułactwie (z 7 ilustr.), nakł. druk. Bilińskiego i Maślankiewicza, Warszawa 1911. — Edward Słoński: W więzieniu. Nakł. drukarni Bilińskiego i Maślankiewicza, Warszawa 1911. — Gustaw Daniłowski: W miłości i boju. Sp. nakł. „Książka“, Kraków 1911. — Zofja Rygier-Nałkowska: Narcyza (powieść). Sp. nakł. „Książka“, Kraków 1911. — Romuald Minkiewicz: Nad morzem mojem. Warszawa 1911. Wende i Spka. — Henryk Immeles: Antysemityzm w Austryi. Lwów 1911, nakł. red. „Jedności“. — Adam Szymański: Lew Tołstoj. Istota jego działalności. Kraków, nakł. Autora 1911. — St. Zawierucha: Powstanie kościuszkowskie, Kraków, wyd. „Życie“ 1911. — J. W-i, „Królestwo jako teren strategiczny“, Kraków, wydanie „Życie“ 1911. — B. Limanowski: Odrodzenie narodowe Śląska, Kraków, wyd. „Życie“, 1911. — Grądzielski: Dzieje literatury polskiej, Kraków, wyd. „Książka“, 1911.

Dla młodzieży: „Jak się dzieci w Bronowie bawiły“, opisała Marja Konopnicka. Rysował Stanisław Dębicki. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa 1911 Kraków. — Gustaf Af Geijerstam: Moi chłopcy. Swojskie opowiadania dla dzieci. Przełożyła Janina Mortkowiczowa, ilustrował Zdzisław Eichler. Wydanie drugie. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa-Lwów. — Selma Lagerlof: Cudowna podróż. Część druga i część trzecia. Przekład J. Mortkowiczowej, ilustracje B. Ziljeferza, C. Kiorbna, E. Otto. Nakład J. Mortkowicza. Warszawa 1911. Lwów. — Ayot Gjems-Selmer: Nad dalekim, cichym fiordem. Przełożyła Janina Mortkowiczowa, ilustracje C. Zorssona. Wydanie drugie uzupełnione. Nakład J. Mortkowicza. Warszawa 1911. — Na ziemi polskiej przed wielu laty. Napisała H. Orsza. Zdobił rysunkami J. Ostrowski. Nakładem Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1911. Lwów. — Janusz Korczak: Józki, Jaśki i Franki. Nakład Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1911. Lwów.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński. Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski. Redaktor odpowiedzialny Juljusz Łopatka. — Odbito w Drukarni Polskiej, Lwów, ul. Chorążczyzny l. 31.